

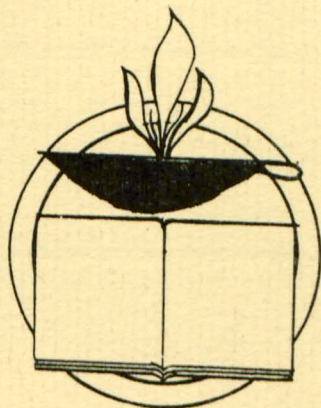


ECHO

NR • 3

1994 *

LEŚNIAKÓW



KOLEŻANKI I KOLEDZY — LEŚNIACY!

Dzięki Waszemu zaangażowaniu i przysłanym materiałom, zgodnie z podjętym na IX Pielgrzymce zobowiązaniem, oddajemy do Waszych rąk kolejny, 3 numer „Echa Leśniaków”.

Jest on wynikiem pracy amatorów, którzy nigdy nie wydawali żadnego pisma, stąd prosimy o wyrozumiałość przy jego ocenie. Artykuły, wspomnienia były pisane z wielkim zaangażowaniem emocjonalnym, bo przecież opisywaliście okres swojej młodości. Na pewno są w nich pewne nieściśności, bo czas robi swoje i pamięć nie ta sama. Myślmy jednak, że właśnie to pozwoli na polemikę na łamach następnego numeru.

Co roku przyjeżdża w drugą niedzielę lipca do swojej Matki Leśniańskiej około 150 osób — dawnych absolwentów Liceum Pedagogicznego. Czy jest to dużo, czy mało — trudno ocenić? Na pewno jest to nietypowe zjawisko. Nie wiem, czy w Polsce jest jakaś szkoła, do której co roku przyjeżdża tylu jej absolwentów. Z pewnością magnesem przyciągającym nas wszystkich jest Ta, która w trudnych latach naszej młodości opiekowała się nami i wskazywała drogę, którą poszliśmy, a że była to droga słuszna, świadczy fakt, że przyjeżdżamy tutaj co roku.

Obserwuje się też w tym pielgrzymowaniu zjawisko inne, a mianowicie, że przywozimy ze sobą swoje rodziny. Pokazujemy miejsca swojej młodości najbliższym. Uważam, że postępujemy słusznie. Wiążemy bowiem swoje rodziny z regionem i miejscem, które może nie jest zbyt atrakcyjne, ale w naszej historii odegrało ważną rolę w utrzymaniu wiary, polskości i niepodległości.

Przed- lub popielgrzymkowe zjazdy towarzyskie też na pewno nie są czasem zmarnowanym. Spotykamy się na nich z koleżankami i kolegami i wspominamy „dawne czasy”, wracamy do naszej młodości, która była okresem najprzyjemniejszym w życiu. Mamy też możliwość zobaczenia swoich Nauczycieli, którzy pielgrzymują do Leśnej razem z nami. Wyrażamy ogromny szacunek i wdzięczność Pani Prof. Jadwidze Czarnockiej i Pani Prof. Zofii Makarewicz, które pomimo trudów podróży przyjeżdżają na coroczne spotkanie od tylu lat. Są One dla nas wzorem godnym naśladowania.

Poszczególne roczniki maturalne reprezentowane są przez zmienną liczbę absolwentów. Najliczniej przyjeżdżają roczniki do 1950 roku. Należy podkreślić, że z roczników przedwojennych pielgrzymują jeszcze: Bronisław Czyżyk (rocz. mat. 1933 r.), Henryk Parys (rocz. mat. 1937 r.). „Białą plamą” w naszej piel-

grzymce jest rocznik mat. 1962; do tej pory nikt nie przyjechał do Leśnej. Myślmy jednak, że czas zrobi swoje i że koleżanki i koledzy z innych roczników zdopingują tych absolwentów do lipcowych przyjazdów.

Głęboki ukłon i wielką wdzięczność tą drogą wyrażamy naszemu koledze prof. Zygmuntowi Denisiukowi, który pomógł nam bezinteresownie w wydaniu niniejszego numeru „Echa Leśniaków”. Bez jego pomocy nie byłibyśmy w stanie wydrukować na czas naszego pisma.

Tą drogą apelujemy też do Was — piszcie nadal i przysyłajcie materiały do następnego numeru pod adresem:

Wiesława Andrusiuk, blok 3/4, 21-542 Leśna Podlaska.

Zespół Redakcyjny

Wspomnienie o Dyrektorzce Maksymilianie Makarewiczu

Maksymilian Makarewicz urodził się 18 listopada 1877 r. w Kaliszu. Po skończeniu 8-klasowego gimnazjum męskiego w Kaliszu wstąpił na Wydział Przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego. Naukę przerwał w 1905 r. ogólny strajk szkolny, w którym brał czynny udział. (W 1930 r. został odznaczony Krzyżem za Walkę o Szkołę Polską). Rozpoczęte studia ukończył na uniwersytecie w Petersburgu. Po powrocie do kraju w 1909 r. pracował w polskich, prywatnych szkołach średnich na stanowiskach kierowniczych: najpierw w Łomży, a od 1918 r. w Kaliszu, jako dyrektor dwóch gimnazjów (żeńskiego i męskiego) Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Od 1 września 1928 r. do listopada 1930 r. Maksymilian Makarewicz był dyrektorem Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Leśnej Podlaskiej, a do wybuchu II wojny światowej nauczycielem fizyki i chemii w tejże uczelni. Oprócz pracy pedagogicznej prowadził Laboratorium Chemiczno-Bakteriologiczne i pracował społecznie, biorąc między innymi udział w komisjach wyborczych do Sejmu i Senatu oraz działając, jako prezes, w miejscowej, gminnej Kasie Stefczyka. Za całokształt pracy na terenie Leśnej Podlaskiej został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi w 1935 r.

W latach niemieckiej okupacji, od października 1939 r. do czerwca 1940 r., działał w konspiracyjnej organizacji „Orzeł Bia-

ty” i w tajnej organizacji nauczycielskiej oraz był organizatorem tajnych kompletów w zakresie gimnazjum ogólnokształcącego, które prowadził do dnia 20 czerwca 1940 r., tj. do dnia aresztowania przez gestapo. Aresztowany w Leśnej Podlaskiej był więziony na Zamku w Lublinie, następnie przewieziony do obozu koncentracyjnego — najpierw do Oranienburga, a później do Dachau, gdzie zmarł 11 marca 1941 r. Prochy Jego zostały przysłane do Polski i pochowane w grobie rodzinnym na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej.

Maksymilian Makarewicz był wybitnym pedagogiem i polskim patriotą.

Cześć Jego pamięci!

Maria Jadwiga Czarnocka z d. Perzyna

„O chwilo, trwaj, ty jesteś piękna” (J. W. Goethe), czyli refleksje o poznaniu tajemnicy szczęścia

Zagadnieniem szczęścia (*szczęście* gr. *eudaimonia*) zajmowali się w ciągu wieków filozofowie. Nasz wybitny polski filozof, a mój profesor Władysław Tatarkiewicz, napisał piękną książkę *O szczęściu*. Wyraził w niej pogląd, że szczęście można osiągnąć zarówno w czynnym i ofiarnym życiu społecznika, jak i w czterech ścianach klasztornej celi. Niezwykle głęboko sięgnął w najistotniejsze zagadnienia życia ludzkiego także autor *Fausta*, który rozwiązał odwieczny problem szczęścia człowieka. Ukazał on swemu bohaterowi wszelkie rozkosze życia, jak: miłość, bogactwo, władza. Ale żadna z tych wartości nie zdołała Fausta zadowolić. Dopiero po wielu latach widzimy go u kresu życia, pochłoniętego całkowicie pracą nad osuszaniem podmokłych terenów nadmorskich, na których w przyszłości zamieszkać mieli szczęśliwi i wolni od trosk ludzie. Świadomość dokonania pożytecznego czynu dla innych sprawia, że Faust wypowiada te znamienne słowa: „O chwilo, trwaj, ty jesteś piękna!” Szczęście, które wreszcie osiągnął Faust, było wynikiem wewnętrznej radości spowodowanej procesem tworzenia, działalnością dla społeczeństwa, dla przyszłych pokoleń.

Myślę, że praca nauczyciela, trudna i pełna poświęcenia, tak pożyteczna dla innych, jest także źródłem radości wewnętrznej i szczęścia, nie mówiąc już o pracy kapłańskiej. Wielkiego dzieła

dokonał nasz kochany Ojciec Korneliusz, inicjator Zjazdów Leśniaków, gromadząc co roku tylu przyjaciół z różnych stron Polski u stóp Matki Bożej Leśniańskiej. Ile trudu i pieniędzy włożył w rozliczną korespondencję z Leśniakami, jakie piękne przesyłał życzenia świąteczne, które odczytywaliśmy w rodzinach podczas Wigilii i uroczystego śniadania w Święta Wielkanocne.

Godnym kontynuatorem tego dzieła jest drogi nam, obecny przeor, Ojciec Eustachy Rakoczy, także wielki przyjaciel Leśniaków, który przejęty jest gorąco sprawą Zjazdów i zawsze w nich całym sercem uczestniczy, nie szczędząc trudu służy radą i pomocą w rozwiązywaniu trudności organizacyjnych. Odczuwamy dla Niego wdzięczność i serdecznie za wszystko dziękujemy.

Z jak wielką radością przyjeżdżamy co roku w lipcu do Leśnej, do miejsca naszych lat dzieciennych i młodości „górej i chmurnej”.

„O chwilo, trwaj, ty jesteś piękna!”

Maria Jadwiga Czarnocka z d. Perzyna

Z mroków okupacji

Grupa absolwentów Leśniańskiej Szkoły: p. prof. Zofia Makarewicz, p. Krystyna Kucharzyk z d. Henger, p. Anna Jakimow z d. Lergetporer, p. Janina Kondratiew z d. Ziniewicz, p. Włodzimierz Sidor, z entuzjazmem wspomina wyłonienie się szkoły z mroków okupacji. Wojska radzieckie przysły do Leśnej 31 lipca 1944 r. Front zatrzymał się na Wiśle. Dlatego oficerowie NKWD rozlokowali się w Leśnej Podl. na pół roku w mieszkaniach prywatnych, a piwnice obiektów szkolnych zamienili na więzienia. Ponieważ te ziemie były już wolne od hitlerowców, więc rozpoczęły się lekcje 4 września 1944 r. Informacji o tym nie było, lecz młodzież, która uczęszczała do szkoły przed wojną dowiadywała się o termin rozpoczęcia jej działalności i informowała innych. Uczniowie wracali do szkoły z całym bagażem przeżyć wojennych.

Lekcje w pierwszym roku nauki odbywały się w drugim budynku. Klasa maturalna, do której przed wojną uczęszczało dwóch uczniów: Mietek Doroszuk i Czesiek Benich, była „zbieraniną” młodzieży z różnych szkół lub z tajnego nauczania i liczyła tylko 12 osób (2 dziewczynki i 10 chłopców). Podręczników nie było. Jedynie ocalała „Historia wychowania” Koła. Później więcej książ-

żek wróciło do szkoły z plebanii z Witulina, ale proboszcz ks. Paweł Zubko został aresztowany i wywieziony w głąb Rosji. Pierwsi maturzyści z 1945 r. w stu procentach ukończyli studia na różnych uniwersytetach, uwieńczone tytułem magistra.

W tym pierwszym roku nauki (we wrześniu 1944) zostało w szkole zorganizowane harcerstwo. Drużynową była Hanka Sidor, a przyboczną Janina Ziniewicz.

Drużynę męską organizowali: Władek Tura, Wacek Połožyiński, a później włączyli się: Witek Głuchowski, Jurek Filipiuk i Florian („Paweł”) Celiński, który w czasie wojny występował jako Paweł Janowicz. Powstałymi dwoma drużynami: żeńską i męską opiekował się prof. Kazimierz Horbowiec. Z tego czasu zachowała się fotografia, na której zuch Lergetporerówna składa przybocznej życzenia imieninowe wraz z naręczem kwiatów. Lergetporerówna siedziała na rękach, by była widoczna przez wszystkich.

Przy pomocy rodziców (matka przybocznej p. Ziniewicz, nauczycielka pracująca w Janowie Podl., jeździła po szary materiał do Łodzi) drużyna w szarych mundurkach wystąpiła już na 3 maja 1945 r. Harcerki nosiły biało-czerwone chusty i ryngrafy z Matką Boską Częstochowską (bo nie było ryngrafów z M. B. Leśnińską). Drużyna nazywała się „Młoda Polska”.

Wtedy zdarzył się przykry incydent. Została zabita (sprawcy nieznani) właścicielka majątku w Wólce Nosowskiej (zabito ją we wsi Wyrzyki, a pochowano na cmentarzu w Kornicy). Córka Marysia Jackowska miała przestrzeloną szyję i szczękę, uciekając dwa kilometry i trzymając ranę ręką osiwiła. Umarła dwa lata temu. Harcerze z klasy, w której uczniem był syn zabitej, Broniek Jackowski, szykowali się na pogrzeb. Broniek Jackowski błagał, by nikt na ten pogrzeb nie poszedł, bo mogłoby się to skończyć aresztowaniami. Starszy syn p. Jackowskiej był przez długie lata dziennikarzem w Afryce.

W wakacje 1945 r. harcerze zorganizowali obóz w szkole nad Bugiem koło Serpelic. Dojechali do Konstantynowa wąskotorówką, a do miejsca zakwaterowania niosąc wikt (kasza, 1/2 kg cukru, mąka, tłuszcz) i opierunek, z ciężkim kocem na plecach w niesamowity upał brnęli przez piaszczyste drogi w niemieckich butach na gumie albo drewniakach. Przy braku znajomości sztuki kulinarnej, kasza często przypalała się w kotle. (Kiedyś taką kaszę zjedli w nocy partyzanci), często było pełno dymu, ale humor harcerzom dopisywał, chociaż spali w klasach na słomie. W niedzielę odpustową do Serpelic harcerze wybrali się na nabożeństwo: zwarci, silni, gotowi, w szeregach. Ktoś do nich podszedł i powiedział: szybko zwijajcie się i wychodźcie z Serpelic. Po

wyjściu harcerzy była w Serpelicach przeprowadzona akcja partyzancka, kogoś we wsi zabito.

Wieczorem zarządzono harcerzom ćwiczenia nocne, a po ich zakończeniu trzej harcerze: Witek, Paweł i Wacek poszli napić się mleka do sołtysa i spotkali tych, którzy kazali im opuścić Serpelice. Późniejsze legendy (oparte na tych wydarzeniach) o spotkaniu harcerzy z „Młotem” nie są prawdziwe.

W 1945 r. w Szkole, oprócz harcerstwa, powstało wiele organizacji, jak PCK, Samorząd Szkolny z różnymi sekcjami, wyłoniony z Samorządów Klasowych. Istniała Spółdzielnia Uczniowska, której główną działalnością było prowadzenie sklepu szkolnego (szefem był Jasio). Wszystkie organizacje młodzieżowe skupiał Sejmik Szkolny. Pieczę nad organizacjami młodzieżowymi sprawował prof. Kazimierz Horbowiec, nazywany Złotym Horbuniem. Posiadał on wielki talent organizacyjny współpracy z młodzieżą. Umiał narzucić swoje pomysły, a młodzież myślała, że to jej inicjatywa.

Ciekawe zwyczaje panowały w internacie. Dziewczeta z młodszych klas spały na korytarzu, a ze starszych — w oddzielnych sypialniach. Wychowawczyniami były: starsza p. Lergętporer i p. Swiderska. Każdego wieczoru wychowawczynie, mająca dyżur w internacie, z przewodniczącą samorządu internatu Janiną Ziniewicz sprawdzały czy wszystkie są obecne. Często umiejętnie odwrócenie uwagi pani wychowawczynie przez przewodniczącą internatu ratowało brakującą osobę. Było i tak, że uczennica skontrolowana w łazience biegła do łóżka nieobecnej koleżanki, nakrywała się z głową i liczba obecnych w sali zgadzała się. Pani wychowawczynie po kontroli zostawiała klucze lub nie. W przypadku braku kluczy i spóźnienia się do internatu któreś z dziewcząt, p. Horbowiec, odsuwając szafę na korytarzu, otwierał drzwi do internatu żeńskiego i wpuszczał spóźnialską, wracając najczęściej z niewinnej randki.

Warte podkreślenia są utwory śpiewane i mówione przez absolwentów roku szk. 1944/45. Pan Włodzimierz Sidor zaśpiewał na melodię „Bóg się rodzi” takie słowa:

Pan nad światy nad niebiosy, a On ziemi zdobi szaty,
z polskich pieśni płyną głosy.
Żal za dawnych ojców chwałą, że mieszkali ze skargami
A Słowo Ciałem się stało i mieszkano między nami.
Cóż masz niebo nad ziemiany, nad polskiego dzień pacierza
Jakież krzywdy, jakież rany od polskiego cięższe krzyża.
Trzech się naszych kędy łało, dłoń okuli kajdanami
A Słowo Ciałem się stało i mieszkano między nami.
Podnieś rękę Boże Dziecię w imię prawa i wolności

Przez rozsiane w całym świecie dziadów prochy, ojców kości.
Weź Kościuszki świtel białą, polskie szańce z okopami
Niech Słowo Ciałem się stanie i zamieszka między nami.

Obecni rześzystymi brawami nagrodzili śpiewającego.

Pani Kryśia Kucharzyk (Hengerówna) recytowała wiersz napisany przez Dziadzia Janellego w 1945 r., z okazji wieczoru klasowego, pod tytułem „Przepis na całuski”:

Słodkiego weźmij tyle kochania

Szarej godziny jeden gram

A jeśli mama nie zabrania

Trzy gramy z lubym sam na sam.

Tęsknym spojrzeniem posmarować

Wstydliwie dodać łez bez miar

Potem przez buzię przefasować

I nasercowy rzucić żal.

Na studle gości się nie bierze

Choćby prosili nie wiem jak

Podać należy tylko świeże

Bo gdy szcerstwieją stracą smak.

W 1945 r. prof. Janelli swojej wnuczce, Irenie Lergtporer, pomagał ułożyć życzenia dla ukochanej nauczycielki na 4 marca.

Najdroższa Pani.

Z kwiatów wiązanki nie mogę upełnić jeszcze, bo ziemię chłodu wstrząsają
dreszcze, marcowe nasze poranki.

Nie mogłam święta Twego imienia przystroić w kwiaty kwitnące,

Bowiem w ogródku ani na łące nie pora jeszcze kwitnienia.

I tylko jeden skromniutki kwiatek w serduszkum moim

Ten może kwitnąć i kwitnie o każdej porze na wiosnę, zimą i latem.

Tym kwiatkiem moja wdzięczność dla Pani, za Pani nade mną pracę.

Jego w najszerszy mróz ja nie stracę i dziś go niosę Ci w dani.

Przyjmij go, z nim zaś szczerze życzenia, by Bóg przysparzał Ci sity

I by dni Pani życie złociły wielkich radości promienie.

Treści przedstawione świadczą o wielkiej więzi starych Leśniaków ze Szkołą. Wynikało to z atmosfery panującej w Szkole. Młodzież wiedziała, że nauczyciele chcą ich czegoś nauczyć. Byli bardzo życzliwi. Uczono wielkiej samodzielności. Uczniowie sami organizowali różne spotkania, np. wieczory poezji, i zapraszali na nie nauczycieli. Wszyscy po przerwie okupacyjnej cieszyli się z tego, że mogą się uczyć. Nie odczuwało się zróżnicowania wieku, poziomu. Między uczniami panowała serdeczność i wzajemna pomoc. Nikt nie miał nieprzyjemnego sposobu odzywiania

się. Wiedzano, czego można się spodziewać. Młodzież była świadoma czego się od niej żąda i co za to otrzyma. Wiedzę trzeba było zdobywać samemu, bo np. jedyny podręcznik Koła dostawało się na określony czas i musiał być wykorzystany prawidłowo i oddany innym. Nie było ściągania na klasówkach z matematyki, bo każdy miał inne zadania i musiał sam spieszyć się z ich rozwiązaniem. Tematy prac pisemnych były tak skonstruowane, że samemu trzeba było wybrać materiał, np. z języka polskiego:

- Jak pojmowali miłość ojczyzny nasi praojcowie,
- Dziecko w literaturze polskiej.

To kształtowanie charakterów, postaw, odpowiedzialności w życiu wiąże emocjonalnie absolwentów z kuźnią wiedzy — Szkołą.

Opracowała Aniela T a r a s z d. Makaruk
(na podstawie wypowiedzi w dyskusji i innych)

Przyczynek do wspomnień Janki Ziniewicz-Kondratiew

Gdy w nrze 2, s. 28, „Echa Leśniaków” czytałam wypowiedź Janki, poruszyła mnie wzmianka o wigiliach internackich, powiększając mój żal, że zaginęły śpiewane podczas Wigilii w 1944 r., oprócz prawdziwych, kolędy okolicznościowe, tzw. internackie, napisane z tej okazji przez „Dziadka Leśnego”. Niestety, od wielu lat próbowałam je odtworzyć, ale uleciały z pamięci zarówno mojej, jak i mego rodzeństwa, a przy spotkaniach w Leśnej koleżanki i koledzy zapytywani o nie, też nie pamiętali tekstu. I oto nagle przypadek mi dopomógł w ich odnalezieniu.

Wskutek awarii sieci cieplnej, piwnica należąca do mojego mieszkania uległa najpierw zaparowaniu, a następnie silnemu zawilgoceniu, tak że trzeba było włożyć wiele wysiłku, by wysuszyć różne szpargały przechowywane na półkach. Między innymi przynieśliśmy na górę do mieszkania paczkę z zeszytami, zawierającymi przepisy kulinarne mojej Babci Stefanii Janelli. Zaczęłam dokładnie je przeglądać i nagle zobaczyłam wśród nich złożoną połówką kartkę z zeszytu, zapisaną zielonym atramentem, dobrze mi znanym, drobnym pismem, z licznymi uzupełnieniami i poprawkami. Radość była ogromna, gdy okazało się przy odczytaniu, że to właśnie autograf „kolęd internackich”. Postanowiłam

zaraz ten tekst przepisać i wysłać do kolejnego „Echa Leśniaków”, sądząc, że ucieszy on wiele osób pamiętających te — według słów Janki — „niezapomniane wigilie”, jak również szczególną atmosferę pożegnania w grudniu 1944 r. tych kolegów, którzy po feriach mieli nie wrócić do szkoły, gdyż zaraz po Nowym Roku szli do wojska, wszak mimo tego, że myśmy chodzili już do „normalnej” szkoły, wojna przecież jeszcze trwała... Wszyscy przeżywali fakt ten bardzo mocno, zarówno najbliżsi koledzy i koleżanki poborowych z klasy, jak i młodszy, dla których stawali się oni bohaterami, a także grono nauczycielskie, najlepiej zdające sobie sprawę, co może wkrótce czekać tych uczniów. Toteż nic dziwnego, że największą wymowę ma ostatnia rzewna kolęda, a poprzednie stanowią jedynie wstęp i żartobliwe tło.

A oto tekst „kolęd internackich” z 1944 r.

I. „W dzień Bożego Narodzenia”

W dzień Bożego Narodzenia
radość wszelkiego stworzenia.
Cieszy się i młodzież szkolna,
że jest w Święta trochę wolna,
trochę wolna...

Cieszą się Pekańsi, cieszą się Licealiści
i „Interniści” tak samo,
że na gwiazdkę będą z mamą,
będą z mamą...

II. „Wśród nocnej...”

A internacka kuchnia aż tańczy
z wielkiej radości, że tej szarańczy
żartoczonej i wciąż zgłodniałej
nie będzie przez czas niemały,
przez czas niemały...

Wszyscy, co w tym gmachu pozostaną
też się nie zmartwią wieczór ni rano
pozostaną po nas luką,
bo mniej będzie huku — stuku,
huku i stuku.

III. „Bóg się rodzi...”

Rade z tej świątecznej luki
także przedmioty nauki
i te ogólnokształcące
i te pedagogujące...

Rade, że po wszystkich klasach
absolutna cisza hasa,
że dostojna Epistema
gryźć i martwić się czym nie ma.

IV. „Przybieżeli...”

I Elektryka szczęśliwa, że od Świąt
nocy stale już ubywa... lecz cóż stąd?
Lepiej by się świeciło,
gdyby nocy nie było! — zupełnie, zupełnie...
Tylko kozy i kozłeta w podwórzu
zgryzotę mają przez Świąta dość dużą,
bo nie ma w gmachu dzieci,
więc z rąk ich nic nie zleci
do pyska, do pyska...

V. „Lulajże...”

Lecz nasza uciecha mocno zmącona,
że zaraz po Świątach z naszego grona
ubędzie, ubędzie kilka osóbek,
które są nam wszystkim, nam wszystkim lube.
A więc przy opłatku dzisiejszym
życzeniem najszczerzym, najserdeczniejszym
żegnamy Najmilsi Was: „do widzenia
w jaśniejszy niż w ten rok Dzień Narodzenia”.

Anna Lergetporer-Jakimow

Z minionych szkolnych dni

Upalne lato 1944 roku. W ten pamiętny czas, kilkoro z nas sześcioklasistów, podążyło pieszo z Kornicy do Leśnej P. na pierwsze w swym życiu egzaminy wstępne do szkoły średniej. Trochę dziwne wrażenie sprawiał wygląd okazałych budynków szkolnych ze stacjonującymi tam oddziałami wojsk radzieckich. A kiedy wszystko przeminęło szczęśliwie, zaczęły się przygotowania do rozpoczęcia nauki, które w moich warunkach nie były łatwe. Brakowało wszystkiego. Prowadzona u nas budowa w tym czasie była ogromnym ciężarem dla całej rodziny. Na szczęście udało się kupić u kogoś w Nosowie metalowe łóżko, co mnie

wielce uradowało. A potem jazda wozem, zamieszkanie na wysokim „Olimpie” i pierwsze dni nauki.

Młodzieży było dużo i stąd też utworzono aż cztery klasy I. Ja zostałem przydzielony do tej ostatniej, tj. I D. Zróznicowany wiek uczniów z jednej strony stwarzał więcej okazji do różnych przeżyć, natomiast z drugiej powodował niejako pewne uzależnienie młodszych wiekiem od roczników starszych. Mimo tych dysproporcji, jakby wspólnym mianownikiem było wielkie zgranie młodzieży, a także młodzieży i grona profesorskiego względem tzw. władzy ludowej. Na kapusiów szkolnych urodzaju jeszcze wtedy nie było. Zauważalne było jednak to, że starsi koledzy byli jakby bardziej zamyśleni. Wielu z nich należało przecież w latach hitlerowskiej okupacji do podziemnych organizacji zbrojnych, utrzymywało w dalszym ciągu kontakty z nimi, posiadając broń. Niektórzy młodszy, ale pochodzący z Bohuła i Krzyżcewa, gdzie trwały ciężkie walki frontowe, także ją posiadali.

Najbogatsze w zdarzenia było jednak życie w internacie. O wielu ciekawych przypadkach z czasów wojny opowiadano siedząc na łóżkach lub niewielkich kuferkach przy nich ustawionych, malowanych, a także w naturalnych barwach — danego gatunku drewna. A gdy nadszedł wieczór i pora spania, dopiero wtedy zaczynał się drugi etap sztubackiego życia, pełen humoru, a niekiedy chwil dość niebezpiecznych.

Pamiętam jak jednego razu koledzy, bardziej dowcipni, włożyli śpiącemu uczniowi długą, okrągłą laskę prochu z artyleryjskiego pocisku między palce nogi, a następnie podpalili. Można sobie wyobrazić, jakie były tego skutki, ale cóż — wybrykom nie było końca. Podobne sztuczki urządzano ze zwiniętymi i podpalanymi kartkami papieru. A gdy tylko światło zostało zgaszone, rozpoczynano się wyciąganie z łóżek na środek sali przez „nocne duchy”, co wzbudzało wiele uciechy i śmiechu.

Nie oszczędzano także profesorów. Szczególną sympatią w tym względzie cieszył się oczywiście uczący śpiewu prof. Franciszek Kędzierzawski. Niejednokrotnie, wychodzącego z sypialni po sprawdzeniu stanu uczniów, żegnano rzucaniem w ściany modnych w tym czasie, niewielkich bombek, nieco większych od laskowych orzechów, które dosyć głośno wybuchały, wzbudzając ogólną radość mieszkańców sali. Można je było kupić na odpustach.

Pewnego razu, a było to na lekcji języka polskiego prof. Marii Dobrowolskiej, ówczesnie jeszcze panny, o ile dobrze pamiętam uczeń naszej klasy, siedzący w jednej z końcowych ławek, strzelił z pistoletu, następnie wstał dziarsko i zaczął ostrzegać innych, by więcej czegoś podobnego nie czynili. O ile się mogłem zoriento-

wać, w naszej klasie miało wtedy broń krótką kilku kolegów, a jeden trzymał też wojskowy bagnet w swojej ławce. Jako uczeń młodszy wiekiem byłem ciekaw, jak wygląda z bliska broń, którą posiadają. Po pewnym czasie udało mi się. Pewnego razu, gdy leżeliśmy na sali przeziębieni, nieżyjący już Tadeusz J. z naszej klasy dał mi do rąk swoją piątkę bębnekowca, w której niestety były załadowane tylko cztery naboje, w tym jeden pocisk jakiś sklepany, być może własnej produkcji. Zapewne nie posiadał ich więcej.

Wybuchy śmiechu wzbudzały wśród nas wieści o tym, że p. Mankiewicz, obsługujący miejscową elektrownię, podłączył przewód pod napięciem do klamki drzwi tegoż budynku, by w ten sposób przywitać dość często kontrolującego jego pracę dyr. gimnazjum Józefa Perzynę. „Powitanie” zapewne udało się, bo po tym zdarzeniu kontrole miały być rzadsze.

Do czasu wyjazdu wojsk radzieckich z Leśnej P., kilkakrotnie chodziliśmy też na filmy przez nich wyświetlane o tematyce wojennej, a także na inne uroczystości organizowane przez ich zespoły.

Na długo w mojej pamięci pozostanie dość przykre zdarzenie, które miało miejsce w pobliżu kościoła. Pewnego dnia, po lekcjach, udałem się po jakieś zakupy do sklepu spółdzielczego. Zbliżywszy się do niego, ujrzałem nagle kilka stojących wozów, skierowanych zaprzęgami konnymi w stronę Bordziłówki, a przy nich kilku uzbrojonych w różną broń mężczyzn. Kilku innych wychodziło z tegoż sklepu, a dwóch stanowiło obsługę ręcznego karabinu maszynowego, ustawionego na ziemi i wycelowanego w stronę cmentarza (droga do Witulina), jako ubezpieczenie przed ewentualnym pojawieniem się „resortowców”, jak powszechnie wtedy mówiono. Z ciekawości na chwilę przystanąłem i wtedy też ujrzałem, jak inni z kolei partyzanci prowadzą do stojących wozów ujętego komendanta MO w Leśnej P. — Grzelaka, a za nimi idzie z płaszczem, niosąc na rękach małe dziecko, jego żona i prosi, by go zwolniono. Prośba jej niestety nie została spełniona. Wszystkie wozy szybko odjechały. Na drodze pozostała tylko zapłakana niewiasta, długo patrząca w stronę, gdzie uprowadzono jej męża. Na szczęście nie został on wtedy pozbawiony życia i w niedługim czasie powrócił do swojej rodziny.

Do naszych ulubionych spacerów w niedziele i święta, a także czasami po lekcjach, należały wyprawy na smaczne gruszki-ulegalki do pobliskiego lasu, a trzeba przyznać, że starych, dzikich grusz rosło wtedy niemało. Dość często ożywa także w mojej pamięci widok dwóch mężczyzn, których zobaczyłem tuż przed mającym się odbyć referendum. Jeden z nich ubrany był w gra-

natowe spodnie bryczesy i buty z cholewami oraz czapkę maciejówkę. Z jego spodni wystawała rękojeść pistoletu, a w kieszeniach odciskały się zapewne granaty. Jego kolega miał jasny garnitur i trzewiki. Przyszli oni do naszej kuchni po mąkę na klej, którym mieli przyklejać ogłoszenia.

Broń w rękach młodzieńczych niejednokrotnie prowadzi do bardzo przykrych następstw. Do jednych z nich należało obrabowanie zimą sklepu spółdzielczego w Leśnej P. z amerykańskich paczek UNRRA. W napadzie tym, o ile sobie dobrze przypominam, wzięło udział trzech uczniów z naszej szkoły oraz jeden mieszkaniec z pobliskiej miejscowości, jadący saniami. Właśnie ich ślady, a także wyrzucane po drodze opakowania po zawartości paczki doprowadziły do ujęcia sprawców. O niczym nie wiedząc, byliśmy ogromnie zdziwieni, kiedy w nocy do naszej sypialni przyszli UB-cy i zabrali dwóch uczniów. Trzeci z nich, najmłodszy wiekiem, dochodzący do szkoły z Mariampola, nie dał się ująć i wyjechał potem gdzieś w inne strony. Pamiętam doskonale, że właśnie tego dnia bacznie obserwował on teren wokół wspomnianego sklepu z okna korytarza budynku szkolnego.

Były też inne, dość przykre w swych następstwach zdarzenia, o których jest mi wiadomo. Otóż dość często starsi wiekiem uczniowie z takiej czy też innej organizacji, z chwilą pojawienia się w Leśnej P. UB-wców czy też NKWD opuszczali swoje klasy, prosząc o zwolnienie z zajęć w takiej czy też innej sprawie. Oczywiście profesorowie doskonale się orientowali w czym rzecz i nie sprzeciwiali się. Niektórzy ze starszych roczników udzielali też korepetycji swoim młodszym kolegom, zwłaszcza z języków obcych, za odpłatnością.

Nad bezpieczeństwem uczniów czuwali także profesorowie. Świadczyć może o tym choćby następujący fakt. Otóż podczas jednej z naszych kolacji, wszedł na jadalnię prof. Kazimierz H. i zwrócił się do b. żołnierza AK z Kornicy St. — Józefa K., cicho powiedział:

— UB pyta o Kosowskiego i zaraz wyszedł.

Poinformowany o tym uczeń, nieznacznie podszedł do swego kolegi Kosowskiego i cicho powiedział:

— Weź swój talerz i nie dając żadnych pozorów zostaw go w kuchni, a następnie idź do parku i tam się spotkamy.

Nie upłynęło wiele czasu, a do stołówki wszedł tenże sam profesor wraz z UB-wcami, głośno pytając kilkakrotnie:

— Kosowski jest!?

— Nie ma, odpowiedziano im i po chwili wyszli.

Swego czasu dowiedziałem się także, od mieszkańca wsi Kornica St., że kiedy późną jesienią nocą jechali we dwóch wozami

z kredą, nagle zostali zatrzymani w Leśnej P. przez „resortowców”. Pierwszy z nich zaraz przystanął, a drugi, śpiący, wezwania nie usłyszał, za co też zdrowo oberwał. Była to jakaś większa zasadzka. Na drodze leżał zabity, w długim kożuchu, jakiś mężczyzna. Gdy jadący zatrzymali się, z ukrycia wybiegło więcej uzbrojonych „resortowców”. Po dokładnym wylegitymowaniu woźniców, nakazano im jechać dalej, z tym jednak zastrzeżeniem, by o niczym nikomu nic nie mówili.

Z późniejszych opowiadań nieżyjącego już paulina brata Metodego dowiedziałem się też, że po wojnie był w Leśnej P. pewien mężczyzna, który w straszliwy sposób wydawał UB-wcom partyzantów. I oto pewnego razu, gdy szedł wieczorem zdrowo podпиты, podeszło do niego dwóch mężczyzn, wzięło pod ręce i od tego czasu ślad po nim zaginął na zawsze. Po II wojnie rozbita została także przez partyzantów jedna z band rabunkowych, która działała przez pewien czas bezkarnie w okolicy Leśnej Podlaskiej.

Godne uwagi są także przeżycia b. żołnierza AK z Kornicy St. — Józefa K. Otóż wskutek grożącego mu aresztowania, a trzeba przyznać, że wielokrotnie przychodziło po niego UB i NKWD do jego rodzinnego domu, zmuszony był przenieść się z Leśnej do Gimnazjum im. I. J. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Licząc się z najgorszym, zamieszkał tam na stacji u pewnej 60-letniej kobiety, nie meldując się nigdzie przez 2 lata. Kobieta ta obawiając się konsekwencji takiej sytuacji, poszła w końcu do biura meldunkowego, by zameldować swego lokatora. Urzędnicy jednak nie chcieli tego dokonać i zażądali koniecznego w tej sprawie pisma — zezwolenia z komendy miasta (komenda wojskowa mieściła się w tym czasie w parku). W tej sytuacji udała się więc do komendy wojskowej, lecz ci również takiego zezwolenia nie wydali, żądając by Józef K. przyszedł do nich osobiście. Wobec takiego biegu sprawy, zmuszony był pójść do nich, przez cały czas pozorując jakoby miał jedną nogę sztywną. W biurze siedział oficer Żyd, obok niego jeszcze ktoś inny, a przy drzwiach stało dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Po wejściu do biura, tenże oficer kazał go z miejsca aresztować, mówiąc:

— Dlaczego nie jesteście w wojsku, gdzie wasze papiery, co będzie, jak spotka was oficer radziecki!?

Na to interesant:

— Ja byłem na komisji wojskowej, potem sobie popiliśmy i te papiery gdzieś zgubiłem, a poza tym ja nie nadaję się do wojska, bowiem w czasie wojny chorowałem na kilka chorób i leżałem w szpitalu — mam na to papiery, lecz zostały w moim tornistrze w szkole.

— Przynieście te wasze papiery, rozkazał oficer. I znowu pozorując w sposób umiejętny posiadanie sztywnej nogi, a przy tym nie oglądając się w ogóle do tyłu, poszedł przy napiętych nerwach do szkoły, przynosząc swoje papiery lekarskie. Oficer, przeczytawszy je wszystkie po kolei, po dłuższym namyśle, wydał wreszcie zezwolenie na zameldowanie.

Po upływie około 3 miesięcy, Józef K. idąc na spacer wraz ze swoją koleżanką ze szkoły, minął się akurat z tymże oficerem, który najwidoczniej go poznał. Chcąc się przekonać, czy ten ich obserwuje, powiedział koleżance, by wzięła chusteczkę do nosa i na chwilę odwróciła się, udając, że uciera nos. Okazało się, że przystanął i bacznie ich obserwował. Ale jego dawny interesant wykazał się też niemałym sprytem i udał, że ma sztywną nogę.

Dla zmylenia swoich poszlak, gdy Józek K. od czasu do czasu pojawił się w Kornicy, bronił się w najrozmaitszy sposób, a to mówiąc, że pracuje w UB, to znowu w MO, a jeszcze innym razem, że tam w jakimś urzędzie, nigdy nie ujawniając swego rzeczywistego miejsca pobytu. Dzięki temu udało się mu przetrwać niełatwe wtedy czasy szczęśliwie. Nie należał też nigdy do ZBOWiD-u i nie należy obecnie.

Ze wspomnień szkolnego kolegi z naszej klasy M. Łukaszuca wyłoniło się również jedno ciekawe zdarzenie. Otóż po II wojnie światowej wojska radzieckie przetrzymywały w piwnicach budynku szkolnego (od strony parku) jeńców niemieckich, czeskich, rumuńskich, węgierskich, a także żołnierzy AK. Początkowo starsi koledzy przekupywali wartowników wódką i słoniną uwalniając żołnierzy AK, lecz potem postawili do ich pilnowania Kałmuków i ci nie dawali się przekupić. Jednego razu starsi uczniowie podobno wrzucili jakąś puszkę zapalonego prochu do ich wartowni, wskutek czego powstało wielkie zamieszanie i dzięki temu udało się uwolnić kilku AK-ców.

Pamiętam też, jak podczas zajęć praktycznych z fizyki, prowadzonych w jednej z klas przez prof. Hengera, nastąpił niespodziewanie wybuch, wskutek czego prowadzący te doświadczenia i kilku uczniów doznało pewnych, na szczęście niezbyt szkodliwych, obrażeń.

Do pociesznych należało często powtarzane powiedzenie podczas prac ręcznych, prowadzonych przez prof. Petza: „przerwij, bo spartolisz”, powtarzanych następnie, przez bardziej dowcipnych, z pomijaniem litery „r”.

Zakończenie roku szkolnego w tamtych latach przypadało na koniec czerwca, a w dzień odpustu Piotra i Pawła rozjeżdżała się młodzież z internatu, zabierając na wozy swoje rzeczy.

Po 4 latach nauki, kierując się swoim zamiłowaniem do przy-

rody, ukończyłem szkołę leśną i pracowałem na stanowisku leśniczego Lasów Państwowych. Potem przenieśliśmy się w rodzinne strony i po 26 latach pracy w Kornickich Zakładach Kredowych przeszedłem na zasłużoną emeryturę.

Lata szkolne, a z nimi młodość przeszły nieubłaganie, od tego czasu minęło bez mała pół wieku i po wszystkim zostały tylko ciche wspomnienia, owiane szumem podlaskich drzew.

Franciszek Zańko

Wspomnienia paulina ojca Jerzego Tomzińskiego z pobytu w Leśnej Podlaskiej — przeora Klasztoru Jasnogórskiego w Częstochowie

W 1935 r. Jerzy Tomziński, młodzieniec z Kongresówki, jedzie z grupą kolegów do Leśnej Podlaskiej na odbycie nowicjatu do Klasztoru OO. Paulinów. Z pociągu w Białej Podlaskiej przesiada się na drabiniastą furmankę konną, by dalszą podróż odbyć po piaszczystej drodze. Urzeka go specyficzne piękno ziemi podlaskiej. Do dziś ma w oczach rozległe równiny, polne grusze, pola i czworaki. Zaskakuje go tutaj inny styl życia, śpiewny akcent mowy, strój ludzi, sposób gospodarowania, a nawet odmienne zaprzęgi konne, tzw. okabłaki.

Doznane wrażenia potwierdziły obraz Podlasia zakodowany dzięki poznanym literackim opisom wschodnich rubieży Polski. Wielka pobożność ludu podlaskiego, pielgrzymki do cudownego obrazu Matki Bożej, całonocne modlitwy, pamięć o bohaterstwie Unitów dopełniły obrazu tej ziemi i wywołały ogromne wrażenie na przyszłym alumnie.

Po odbyciu rocznego nowicjatu Jerzy Tomziński kończy ośmioklasowe gimnazjum w Krakowie. Studia teologiczne rozpoczął w Wyższym Seminarium Duchownym i stamtąd, w ich toku, trzykrotnie powraca na wakacje przed obraz Matki Bożej Leśniańskiej, by zaczerpnąć sił i wzmocnić się duchowo. Wiele czasu upływało mu na spacerach znanymi szlakami i uprawianiu ulubionych sportów. Bardzo cenił sobie rozmowy z miejscową ludnością, niezwykle mu życzliwą.

Podczas ostatnich wakacji w 1939 r. zdarzyła się rzecz dziwna. 6 sierpnia wracający na dwóch furmankach z wycieczki do Pratulina alumni zostali zmoczeni do suchej nitki przez szalejącą ulewę w czasie burzy. Do Leśnej dotarli dopiero o piątej rano.

Ponieważ musieli być w Częstochowie 8 sierpnia, zmuszeni byli wyjechać z Leśnej w pożyczonych habitach, a swoje odzienie zostawili do wysuszenia.

28 sierpnia gen. Gąsiorowski, dowódca odcinka częstochowskiego oświadczył przeorowi Jasnej Góry, że za kilka dni wybuchnie wojna i proponował przeniesienie młodzieży zakonnej na wschód od Wisły. Ostatnim pociągiem jadącym ze Śląska przez Warszawę do Białej Podlaskiej 29 sierpnia 1939 r. młodzi alumni wyjechali z Częstochowy. Po przyjeździe do Leśnej zastali swoje habitę, bieliznę, książki i inne przedmioty pozostawione po ulewie z 6 sierpnia i dlatego wiązali niezwykłość tej ulewy z dalszymi swoimi losami. Po napaści ZSRR na Polskę 17 września 1939 r., klerycy podjęli decyzję powrotu do Częstochowy.

Pięćdziesięciu kleryków pod koniec września „ruszyło” do Częstochowy. Niemców spotkali dopiero w Dęblinie. Tutaj też zetknęli się z okrucieństwem wojny. Przy torach kolejowych leżały trupy ludzi, ziemia była powywracana, podkłady kolejowe zniszczone. Odmiennej strój kleryków dziwił i drażnił żołnierzy niemieckich. Poddani rewizji znaleźli się w niebezpieczeństwie, gdyż trzech z nich posiadających brzytwy przeznaczono do rozstrzelania. Komendant niemiecki kpił z różańca zawieszono przy boku kleryka Jerzego Tomzińskiego (który pełnił funkcję tłumacza), mówiąc „że lepiej byłoby dla Polaków, gdyby dobrze strzelali, to by wojny nie przegrali, a wy tylko wierzyć w Matkę Boską i różaniec”. Na szczęście wszyscy zatrzymani zdobyli przepustki potrzebne do przekroczenia mostu na Wiśle i trafili na plebanię, gdzie zastępcą proboszcza był ks. Stanisław Kotowski, późniejszy kapelan Księdza Prymasa.

Szli do Częstochowy wzdłuż torów kolejowych. Naczelnik małej stacyjki Bakowiec zaproponował jazdę pociągiem (nie znał godziny przyjazdu) i po długim czekaniu zaproponował zgłodniałym klerykom żołnierski chleb. Zaofiarowany chleb wzbudził w klerykach niepokój duchowy, zastanawiali się bowiem, czy godzi się ten pokarm wziąć od wroga? Naczelnik zrozumiał ich rozterkę, mimo to chleb podarował i ruszyli w dalszą drogę do Maryjnej stolicy. W wojennych warunkach podróż trwała bardzo długo. Szczęśliwy powrót do Częstochowy zamknął pierwszy rozdział kontaktów z Podlasiami o Jerzego Tomzińskiego.

Ojciec Jerzy Tomziński powtórnie zjawia się w Leśnej Podlaskiej będąc kustoszem Klasztoru Jasnogórskiego po zakończeniu II wojny światowej, gdy odwiedza swego przyjaciela o. Euzebiusza Nowaka. Wówczas to uczestniczył w jego katechezie, prowadzonej w Liceum Pedagogicznym, i tak rozpoczęły się kontakty z leśniańskim środowiskiem pedagogicznym, zacieśnione w 1949

r. Niespodziewanie w styczniu tego roku o. Jerzy Tomziński dostał nominację na przeora i proboszcza Klasztoru OO. Paulinów właśnie w Leśnej Podlaskiej.

Pamiętny dzień Matki Bożej Gromnicznej 2 lutego 1949 r. był początkiem jego duszpasterskiej pracy. Wielką troską przeora Jerzego Tomzińskiego było zainstalowanie w świątyni organów, które po powstaniu styczniowym i kasacie Zakonu Paulinów zostały przewiezione do Warszawy i tam spłonęły na Placu Grzybowskim. Był to cenny zabytek i dar rodu Radziwiłłów.

Ciężkie warunki materialne parafii zostały przezwyciężone, gdy zrealizowano pomysł wójta p. Guza wykorzystania złóż glinki z pobliskiej Kornicy. Z podziwu godną ofiarnością dorośli, a także młodzież pracowali przy eksploatacji tej glinki. Za uzyskane pieniądze zakupiono nowe organy.

Przeor o. Jerzy Tomziński po ojcowsku traktował swoich parafian. Dwa, trzy razy do roku odwiedzał każdą rodzinę. Przyglądał się zachowaniu młodzieży na wiejskich zabawach. Cieszył się ogromnym szacunkiem.

Leśna Podl. to przede wszystkim kompleks młodzieżowy: Liceum Pedagogiczne i Szkoła Ćwiczeń. W roku szkolnym 1949/50 nastąpiła zmiana w kierownictwie tych placówek. Dyrektorem Liceum Pedagogicznego został Jan Krzemiński, a kierownikiem Szkoły Ćwiczeń Stefan Zahor (późniejszy kurator, a następnie kierownik do spraw wyznań w Lublinie). Właściwie od tego czasu rozpoczęła się ostra walka ideologiczna.

Władze oświatowe pozwoliły tylko przeorowi Klasztoru OO. Paulinów Jerzemu Tomzińskiemu prowadzić katechezę w Szkole Ćwiczeń. Prawdopodobnie sądzono, że ogrom prac parafialno-klasztornych nie pozwoli mu na regularne lekcje, planowo wyznaczone jako ostatnie (środek dnia). Kształtowanie charakterów postaw moralnych młodzieży w oparciu o prawdę Bożą były ważnym elementem pracy duszpasterskiej o. Jerzego Tomzińskiego i dlatego lekcje prowadził systematycznie, rzeczowo, nie szczędząc czasu ani sił. Najczęściej odbywały się w godzinach rannych, w zastępstwie na tzw. okienkach (nauczyciele wówczas często wyjeżdżali na szkolenia).

W Liceum Pedagogicznym pozwolono prowadzić lekcje religii ks. Pawłowi Zubko, proboszczowi parafii z Witulina (który do Leśnej dojeżdżał rowerem). Zapewne liczone na trudności obiektywne: złe warunki atmosferyczne, szczególnie w zimie, kłopoty ze środkami lokomocji, które utrudnią systematyczną katechezę.

Zwyczaj w Liceum Pedagogicznym zmieniły się. Młodzież w uporządkowanym szeregach ze Sztandarem Szkolnym przestała chodzić w niedzielę na Mszę Św. Szykanowano nauczycieli za

przekonania religijne. Zamurowano nawet furtkę w parkanie, odgradzającym obiekty szkolne od klasztornych.

O. Jerzy Tomziński, jako proboszcz parafii, czuł się odpowiedzialny za postawę moralną młodzieży i starał się mieć z nią bliski kontakt. Prowadził różne nabożeństwa. Dbał, by obchodzono pierwsze piątki miesiąca. Często w czwartek wieczorem musiał zamykać budynek kościelny na klucz z młodzieżą przy konfesjonalach, by uchronić ją od przykrych konsekwencji, ponieważ dyrektor liceum spacerował po cmentarzu kościelnym. Jako gospodarz obiektu klasztornego o. Jerzy Tomziński dotrzymywał dyrektorowi towarzystwa, a po opuszczeniu przez niego terenu kościelnego, wypuszczał młodzież z kościoła przez zakrystię.

O. Jerzy Tomziński rozwijał w młodzieży uzdolnienia artystyczne, ucząc ją śpiewu na trzy głosy, tańca, recytacji, by w czasie odpustu Matki Bożej dać przedstawienie w sali parafialnej dla pielgrzymów.

Dyrektor Krzemiński demoralizował młodzież. Pisemne oświadczenie sołtysa Biernackiego, złożone na ręce o. Jerzego Tomzińskiego, rozmowa tegoż z emerytowanym dyr. Józefem Perzyną, wyjazd dyr. Józefa Perzyny do Ministerstwa, przyjazd dwudziestoosobowej Komisji, wszystko to przyczyniło się do usunięcia Jana Krzemińskiego ze stanowiska dyrektora szkoły.

Te wydarzenia wpłynęły jednak na usunięcie o. Jerzego Tomzińskiego z Leśnej we wrześniu 1952 r. przez świeckie władze wojewódzkie w Lublinie „jako niebezpiecznego dla bezpieczeństwa kraju, ponieważ pracuje blisko granicy ze Związkiem Radzieckim i musi opuścić Leśną w ciągu miesiąca bez prawa powrotu do niej”. O. Jerzy Tomziński był pierwszym proboszczem usuniętym ze stanowiska przez władze świeckie w Polsce.

Z trzyletniego pobytu o. Jerzego Tomzińskiego na stanowisku proboszcza w Leśnej Podlaskiej nie można pominąć wydarzeń gospodarczych. Ustawa z 1950 r. o przejęciu przez skarb państwa „dóbr martwej ręki” zabierała majątek Klasztoru OO. Paulinów. Dotychczasowe samowystarczalne gospodarstwo, posiadające maszyny rolnicze, bryczkę, konie, 120 świń (w tym 40 tuczników), 30 krów, owce, drób, pasiekę (60 uli), miała przejąć specjalna komisja, która zjawiała się bez zapowiedzi. O. Jerzy Tomziński był zmuszony przeciągać do dwóch godzin pertraktacje z komisją w rozmównicy, by brat Palemon mógł wywieźć maszyny rolnicze i inne dobra do oddanych klasztorowi parafian. Najwięcej hałasu robiło 20 tuczników załadowanych na furmanki z Droblina, Bördziłówki, Bukowic, Ludwinowa.

Przy spisywaniu zasobów gospodarczych niczego nie ważono i nie mierzono i tak np. odnotowano 50 q ziemniaków, a było

500. Po dokonaniu spisu i zostawieniu części inwentarza zakonnikom utworzono PGR, w którym kierownikiem został o. Jerzy Tomziński, a zastępcą brat Palemon.

PGR miał duże zapotrzebowanie na paszę i kupował ją w Klasztorze OO. Paulinów. Działania gospodarcze musiały być uwidocznione w księgowości. Za wzorowe jej prowadzenie kierownictwo otrzymało pierwszą nagrodę w województwie lubelskim.

Klasztor w Leśnej dostarczał rocznie na rzecz państwa około milion złotych (w kontyngentach i podatkach) przed utworzeniem PGR-u. Natomiast utworzony PGR zapłacił klasztorowi za paszę około czterech milionów złotych. Pieniądze te o. Jerzy Tomziński jako przeor przeznaczył na zbudowanie posadzki i ławek w kościele i sygnaturki na cmentarzu kościelnym. Podkreślić należy, że w tamtych latach terroru polityczno-gospodarczego były to osiągnięcia niezwykle. Wygospodarowanie tak dużej sumy pieniędzy na inwestycje kościelne (organy, posadzka, ławki, sygnaturka) świadczy o wielkich umiejętnościach organizacyjnych przeora o. Jerzego Tomzińskiego i jego odwadze wobec komunistycznych władz.

Trzyletni pobyt o. Jerzego Tomzińskiego na stanowisku przeora-proboszcza w Leśnej Podlaskiej charakteryzuje się osiągnięciami w każdej dziedzinie duszpasterskiego działania. Był dla parafian prawdziwym ojcem, dbającym o wiele aspektów ich życia. W ramach Caritasu w każdym tygodniu organizował nie tylko prelekcje o tematyce religijnej, ale także kursy kucharskie i krawieckie.

W okresie walki ideologicznej marksizmu z Kościołem przyczynił się do usunięcia zdeprawowanego moralnie dyrektora liceum, utrzymał młodzież szkolną przy kościele, dbając o jej kształcenie artystyczne (recytacje, śpiew, tańce).

Tak wielorakie dokonania i w tak krótkim i bardzo trudnym czasie świadczą o wyjątkowo bogatej osobowości, niezwyklej temperamencie i umiejętnościach organizacyjnych o. Jerzego Tomzińskiego.

Postscriptum

O. Jerzy Tomziński po wyjeździe z Leśnej w kilka miesięcy później został przeorem na Jasnej Górze, aż do 1957 r. Następnie wyjechał do Rzymu, gdzie na Uniwersytecie Gregoriańskim zdobył stopień doktora z prawa kanonicznego. W 1963 r. został zaocznie wybrany Generałem Zakonu OO. Paulinów i pełnił ten zaszczytny urząd przez dwie kadencje. W 1973 r. został przeniesiony do Klasztoru w Biechowie, gdzie między innymi był kate-

chetą młodzieży szkolnej i pozaszkolnej. W 1975 r. wraca na Jasną Górę i zostaje współredaktorem „Niedzieli” i rzecznikiem prasowym Jasnej Góry. W 1989 r. zostaje po raz trzeci przeorem Jasnej Góry.

Oprac. do druku Aniela T a r a s z d. Makaruk

Wspomnienia z 1952 roku

Przesyłam kilka wspomnień z 1952 roku, z ciemnego okresu „zniewalania umysłów”, mówiąc słowami Czesława Miłosza. Nowi dyrektorzy Gimnazjum i Liceum Pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej, J. Krzemiński i S. Kosiński, gorliwi zwolennicy światopoglądu materialistycznego, zwracali baczną uwagę na to, czy młodzież szkolna nie uczęszcza przypadkiem na nabożeństwa kościelne. Najbliższa droga na terytorium OO. Paulinów prowadziła przez małą furtkę w murze, obok fosy. Tamtędy wymykała się młodzież niepostrzeżenie do kościoła.

Pewnego dnia furtka została zamurowana. Pani Krajewska, żona kierownika gospodarstwa szkolnego, ułożyła w związku z tym okolicznościowy wiersz, korego fragment przytaczam:

...Przyszedeł rozkaz zamurować
i założyć tam rabatki,
gdzie wyrosną piękne kwiatki.
A w tym wszystkim ta myśl tkwi:
„do Boga nie zamkniesz drzwi”.

Przewodniczącym szkolnego „Związku Młodzieży Polskiej” był wówczas osławiony Paluch, który gorliwie tropił uczniów i nauczycieli uczęszczających do kościoła. Pewnego dnia wezwano tych nauczycieli, między innymi p. profesora Jana Łabędzkiego, chemika, przed „trybunał konstytucyjny”, złożony z dyrektorów szkoły, I sekretarza PZPR i POP. Padło pytanie, czy wezwany chodzi do kościoła i dlaczego? Pan Łabędzki stwierdził z dużą odwagą cywilną, że konstytucja PRL zapewnia mu swobodę wyznania.

Z końcem roku szkolnego nadszedł uroczysty dzień Bożego Ciała. Ulicą Leśnej miała przechodzić procesja. Młodzież „socjalistyczna” w porozumieniu z dyrekcją szkoły uruchomiła na tę okazję od wczesnego rana radiowęzeł szkolny na cały regulator, aby celowo przeszkadzać w procesji. Kilku oburzonych miesz-

kańców Leśnej, uczestniczących w procesji kościelnej, wpadło do gmachu szkolnego, aby uciszyć aparaty, wyjące modne piosenki. Powstała wielka awantura, zreżennie zażegnana przez wszechwładnego nad światłem elektrycznym p. Mankiewicza, który w samą porę wyłączył prąd, udaremniając niecne zamiary „socjalistycznej” młodzieży.

Bardzo ciekawy jest fakt, że w tym ciemnym okresie stalinowskim zrodziło się wśród młodzieży, jako naturalna reakcja na narzucany światopogląd materialistyczny, kilka głębokich powtań zakonnych i kapłańskich, jako że „duch technic, kędy chce”.

Maria Jadwiga Czarnocka z d. Perzyna

Leśniańska Szkolna Miłość (matura 1952)

Po przeczytaniu nrów 1 i 2 „Echa Leśniaków” i mnie ogarnęła chęć do podzielenia się wspomnieniami. Gdy patrzy się wstecz, aż trudno uwierzyć, jakimi to drogami ciągnęła młodzież do szkoły, do tej nieznannej Leśnej — nie przeczuwając nawet konsekwencji, że Miejsce to w życiu Leśniaków zostanie na zawsze. Nie przypuszczam, by pozostał ktoś obojętny. Najlepszym tego przykładem są coroczne przecież dobrowolne spotkania, na które przyjeżdżają z daleka i najczęściej — co tu mówić — przedstawiciele starszych roczników.

Uśmiechałam się czytając, jak to wędrował kol. Leon Trzeciak do I klasy, nie mniej śmiesznie wyglądała moja podróż. Nie szłam piechotą, wieziono nas troje furmanką z Kąkolewnicy. Dwa obce konie sprzężone ciągnęły bardzo różnie. Wóz drabiniasty wypełniony trzema żelaznymi łózkami, trzema już wypchanymi słomą siennikami, oczywiście kuferki, powoził mój brat. Jechała koleżanki mama, kolegi babcia, a my, dwie Danki z bolącymi zębami, obwiązane jak ten kot z bajki, musiałyśmy wywoływać żalodne wrażenie, bo aż ludzie zatrzymywali się po drodze. Zęby prawdopodobnie bolały nas ze strachu. W internacie miejsca przy piecach były już zajęte. W sypialni w żeńskim internacie, w jednej sali z filarami, mieszkały dziewczęta z dwóch I, ze wstępnej i z dwóch II klas. Wspominam klasę wstępną, bo w 1948 r. była jeszcze i wstępna — chyba ostatni raz. Oczywiście dostosowywanie się do takich warunków — myślę — nie było łatwe, ale umiejętności pedagogiczne i wychowawcze grona pedagogicznego z tamtych lat były tak wspaniałe, że tylko dzięki nim tworzył

się zespół koleżeński, odpowiedzialność i uczciwość. A jeśli nawet wydarzył się jakiś wybryk — chociażby ten, gdy kilka dziewcząt z I kl., co było nie do pomyślenia, nie poszło na odrabialnię, lecz zostało w sypialni, żeby się uczyć — a sprawa szybko wyszła na jaw i obawiałyśmy się najgorszej kary z usunięciem z internatu, a może i ze szkoły — to zadecydowano, że miałyśmy jedynie przeprosić opiekunkę internatu, p. Lergertporer. Była to wspaniała, bardzo elegancka, starsza Pani. Przepraszała się jak własną matkę — całując w rękę. I tak z perspektywy długoletniej pracy nauczycielskiej ten moment często wspominam, bo jakże to było niewiele, a jednocześnie jak mądre i jak wychowawcze. Początkowo odrabialnia dla dziewcząt była w budynku szkoły ćwiczeń, a dla chłopców w budynku liceum. Później, tzn. w kl. III i IV, była już wspólna, w klasach w których do południa odbywały się lekcje.

I znowu odwołuję się do perspektywy lat — w gronie spotykanych Leśniaków często wspominaliśmy, że wyrobiono w nas młodzieży szkolnej ogromną samodzielność. Jak to Ci nasi Nauczyciele i Wychowawcy uzyskali? — był to ich pedagogiczny artyzm.

Wszyscy Leśniacy z moich lat dobrze pamiętają tzw. wieczornice. Każda klasa raz w miesiącu miała przygotować program wokalnie-poetycki, tzw. wieczornicę. Odbywała się ona po kolacji w sali teatralnej dla wszystkich licealistów. Oczywiście nauczyciele też przychodzili. W programach tych zawsze brałam udział, bo podobno ładnie deklamowałam wiersze, ale nasz wspaniały Wychowawca p. Czarnocki nigdy nam nic nie sugerował. Sami ustalaliśmy tematy, sami dobieraliśmy wiersze, piosenki i trzeba było znaleźć czas, by się tego wyuczyć — przecież to była prezentacja przed wszystkimi. Fakt, gdy ja byłam w I—II kl. — to młodzież w III—IV kl. wiekowo była zróżnicowana, ale i autorytet mieli wyrobiony — przecież do dziewcząt i chłopców zwracaliśmy się kolego czy koleżanko. Natomiast my w IV kl. już takiej powagi nie mieliśmy. Pewnie pamięta kol. z IV a — Czesiek Gorzkowski — jak go na boisku jakiś pierwszoklasista zapytał, „ty — która godzina? — a on podniósł go za klapy marynarki i powiedział: „zapamiętaj, że byle starszy od ciebie to pan”.

Uczęszczaliśmy do liceum czteroletniego, można powiedzieć, jakich to krótki czas, a tak dużo wspomnień. Czyż nie pamiętać uroczych zajęć całodniowych z przysposobienia obronnego w lesie Floria, prowadzonych przez profesora Z. Maciaka. Młodzież z dwóch III i z dwóch IV klas szła z całym ekwipunkiem wojskowym — karabiny, ślepe naboje, tarcze i oczywiście prowiant,

gdyż obiad był przygotowywany w lesie. A podczas przerwy echo niosło różne melodie piosenek, a wśród nich znaną i wówczas śpiewaną: „Hej słowiki, słowiki uciszcie swój śpiew” lub „W przyfrontowym lesie”.

Leśna moich lat to przepelnione sypialnie, stołówka na dwie zmiany, „zamoście” za fosą, lokalne elektryczne światło tylko do ustalonej godziny, prasowanie granatowych układanek pod przescieradłem — ale nie było stresów, nawet o ocenach niedostatecznych śpiewaliśmy: „rozzumiały się dwójce w dzienniku”.

Romantyczności dodawały uczucia młodych serc. Tworzyły się „pary miłosne”, jak to wtedy mówiono. Wspólny czas takich par to uczenie się razem, sobotnia potańcówka (były takie), oparcie się na mostku nad fosą i przeglądanie się w wodzie, a także obowiązkowe spacerory do „dębu miłości”. Wiele tych leśniańskich szkolnych par uwieńczone zostało małżeństwem, tak jak i w naszym przypadku [Danuta Piekarska i Henryk Burek: Burzmińscy — mąż zmienił nazwisko], a Leśna to jedna z najpiękniejszych baśni naszego wspólnego życia.

Z nauki w Liceum Pedagogicznym i z pobytu w internacie odnieśli Leśniacy rzetelny pożytek. Wspomnienia, jakimi się dzielimy, to często krótkie i może mało znaczące chwile. Całokształt jednak wytworzył w nas ogromną jedność. Odczuwa się to często w życiowych sytuacjach, gdzieś w Polsce. Jeśli się tylko spotkamy czy rozpoznamy, to mamy leśniańskich tematów na całe dnie i wieczory.

Wzruszające są nasze powroty — jedziemy jakby do Domu. Szkoda tylko, że nie przyjdzie nikomu na myśl — mieszkającym Kolegom w Leśnej — by w tę drugą sobotę czy niedzielę lipca zagrał szkolny radiowęzeł (używam dawnej terminologii), by takie melodie, jak np. „Zakochane twoje oczy”, „Graj gitaro graj”, „W starych nutach babuni”, czy inne z lat pięćdziesiątych-sześćdziesiątych dopełniły to, co już nie wróci.

Dzisiejsza Leśna jest nowoczesna, tylko studnia artezyjska zapomniana i szkoda, że nikomu niepotrzebna rozlatuje się i chyli, ale sączy jeszcze wodę, jakby chciała nam, przyjeżdżającym Leśniakom, pozostać wierna we wspomnieniach.

Danuta Burzmińska z d. Piekarska

Wspomnienia szkolne z okresu okupacji

Rozważając warunki pracy współczesnych pedagogów, domagających się poprawy poziomu życia materialnego radykalnymi metodami opartymi często na strajkach, warto przypomnieć niedolę i zmagania się z wieloma przeciwnościami losu nauczycieli, którym przypadło żyć i pracować w czasie okupacji. Wielu młodych absolwentów leśniańskich szkół nie pamięta tych lat i zna je tylko z opowiadań starszych Kolegów lub z literatury. W tamtym, beznadziejnie trudnym i niebezpiecznym okresie zniewolenia faszystowskiego być nauczycielem oznaczało o wiele więcej niż tylko wypełnianie funkcji naznaczonych programem szkolnym. Wtedy nauczyciel musiał być, nie zawsze z własnego wyboru, wychowawcą, autorytetem moralnym, działaczem konspiracyjnym, żołnierzem, dowódcą, politykiem, który w najtrudniejszych momentach nie wahał się zaświadczyć, że służba Ojczyźnie wymaga najwyższej ofiary.

Myślę, że większość Koleżanek i Kolegów, którzy z woli Bożej i własnej decyzji zostali nauczycielami, zna środowisko szkolne w Leśnej Podlaskiej tylko z okresu czterech lat pobierania nauki w tutejszym Liceum Pedagogicznym. Starsi wiekiem, którzy spędzili w Leśnej lata okupacji, dawno już odeszli na zasłużoną emeryturę lub też przenieśli się na wieczną służbę pedagogiczną i nie ma ich wśród nas. Młodszy zaś, zwłaszcza ci, którzy są jeszcze czynni zawodowo, niewiele wiedzą o zmaganiach w latach niewoli faszystowskiej, gdyż byli często wychowani w poczuciu pogardy dla postawy i heroizmu ludzi walczących z okupantem. Tym Wszystkim chciałbym w krótkich słowach przedstawić warunki, w jakich żyli, pracowali, walczyli i zwyciężali, często też ponosili klęski, tamtejsi nauczyciele i ich uczniowie w Leśnej Podlaskiej oraz sąsiednich wioskach. Opisuję to, co widziałem i przeżyłem, a więc jako świadek tamtejszych wydarzeń.

Początek wojny zastał mnie już przy książce, wtedy rozpoczęła się bowiem moja edukacja w skromnej, 4-klasowej, wiejskiej szkółce w Witulinie. Kiedy wiosną 1942 r. wojska niemieckie zajęły budynek szkolny na swoją kwaterę, kierownik p. Ignacy Gosk przeniósł nauczanie do najbliższej stodoły p. Koszołki. Na glinianym klepisku poustawiano ławki, a na drzwiach powieszono tablicę do pisania. W bocznych sąsiadkach spacerowały kury, kaczki i gęsi — to one chyba chciały przypomnieć uczniom, że „Polacy... też swój język mają”, więc winni się uczyć zawsze i wszędzie, nawet w stodole. Uczniowie nie korzystali z żadnych

podręczników, bo były przez okupanta surowo zabronione. Widziałem często, jak nauczyciel podczas niespodziewanego przejazdu Niemców przez wieś natychmiast chował książki, z których uczył, w słomie lub w sianie, zgromadzonym jako pasza dla bydła. Nakazywał też uczniom, aby w razie rewizji nie mówić, że nauczanie odbywa się z książki. Później dowiedziałem się, że za posługiwanie się w czasie lekcji polską książką groziło więzienie, co często oznaczało obóz pracy i śmierć. Jediną dozwoloną pomocą w nauczaniu był wydawany w języku polskim miesięcznik pt. „Ster”, zresztą wnikliwie oceniurowany.

Trudne warunki edukacji „stodolnej” sprawiły, że w 1942 r. przenieśliem się do szkoły w Leśnej, odległej od Witulina około 3 km. Zresztą wszyscy uczniowie, po ukończeniu szkoły miejscowej, szli do Leśnej po dalszą wiedzę. Ta miejscowość bardzo nobilitowała i dodawała prestiżu, bo choć też była wsią, należała do wyjątków — przed wojną funkcjonowały w niej aż trzy szkoły średnie: Seminarium Nauczycielskie, Gimnazjum i Szkoła Handlowa. Oprócz tego była tu, wciąż działająca, 7-klasowa Szkoła Podstawowa, a nauka odbywała się w obszernych salach w muryrowanym budynku. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że inne budynki były już zajęte przez Niemców na kwatery wojskowe.

Pierwszą rozmowę „kwalifikacyjną” odbyłem w kancelarii mieszczącej się w budynku od strony parku. Urzędowali tu: prof. Zbigniew Maciak, prof. Wincenty Banaszekiewicz oraz o. Korneliusz. Na pytanie pana Maciaka, dlaczego nie chcę chodzić do szkoły w Witulinie, nie miałem wiarygodnych argumentów i odpowiedziałem wprost, że tu mi się bardziej podoba.

Długo nie mogłem pojąć, dlaczego było tyle przerw w zajęciach szkolnych i nauczyciele tak często gdzieś wyjeżdżali. W zasadzie „na posterunku” pozostawały przeważnie panie, które uczyły nas ze skrzętnie ukrywanych podręczników. W przypadku jakiegokolwiek zagrożenia książkę chowano za piecem kaflowym, gdzie były przygotowane zapasy drewna do palenia. Nieraz książki znajdowały „bezpieczne” schronienie w piecu. Latem było to zupełnie bezpieczne, ale zimą ryzyko ogromne. Dostyć często panie wychowawczynie zarządzały natychmiastowe opuszczenie szkoły przez wszystkie dzieci, przy czym polecano, aby rozchodzić się indywidualnie, nie grupami, każde w innym kierunku. Było to zabezpieczenie się przed łapankami i wywózką do Niemiec. Już wtedy coraz groźniejsze wieści nadchodziły z Zamojszczyzny, czego wtedy jeszcze dobrze nie rozumiałem.

W czasie egzekucji 18 partyzantów AK, która miała miejsce pod murem okólnika 17 grudnia 1943 r., spędzono młodzież szkolną na świadków w celu zastraszenia społeczeństwa. Nikt

jednak nie był pewny, w jakim celu Niemcy urządzają tego rodzaju zgromadzenia i co może stać się z młodzieżą.

W 1944 r. wojska niemieckie zajęły na koszarzy wszystkie budynki szkolne. Nauczanie przeniesiono więc do zabudowań więziennych, które — nie wiem dlaczego — opustoszały. Nasze lekcje odbywały się w budynku otoczonym murem wysokim na ok. 4 m i zwieńczonym koroną z kawałków ostrego szkła. Były tam 4 izby z niewielkimi, okratowanymi oknami. Ciężkie metalowe drzwi nie miały klamek i były zaopatrzone w zapadkowe zamki, otwierane tylko z zewnętrznej strony. W celu zabezpieczenia przed przypadkowym lub celowym zatrzaśnięciem, przed progiem przybito do podłogi grube kawałki desek. Tak więc lekcje odbywały się zawsze przy nie domkniętych drzwiach, a było to celowe zabezpieczenie przed niespodziewaną wizytą gestapowców.

W czasie przerw młodzież wychodziła na dziedziniec ogrodzony murem, z którego na zewnątrz można było wydostać się przez jedyną „oficjalną” bramkę. Dodatkowe „awaryjne” wyjście sporządzono po przeciwnej stronie, a to ze względu na bezpieczeństwo młodzieży i nauczycieli.

Program nauczania obejmował różne przedmioty, z wyjątkiem geografii i historii. Tak więc był język polski, matematyka, religia, zajęcia praktyczne, wychowanie fizyczne itp. We wszystkich klasach podstawową lekturę stanowił „Ster”, poziom nauczania był więc „wyrównany”. Długo nie mogłem odgadnąć, dlaczego w sąsiednich budynkach spotyka się starszą młodzież, przy czym matematyka u nich oparta była na jakiś bardzo skomplikowanych wzorach, podczas gdy u nas wszystko sprowadzało się do tradycyjnych „słupków”. Dopiero po wyzwoleniu dowiedziałem się, że było to tajne nauczanie młodzieży gimnazjalnej.

Aresztowania i egzekucje działaczy konspiracyjnych, w tym i nauczycieli, były częstym procederem uprawianym przez gestapo. W obozie koncentracyjnym zginął profesor Maksymilian Makarewicz, jeden z najwspanialszych nauczycieli i wychowawców młodzieży leśniańskiej. Szczególnie tragiczne były grudzień 1943 r. oraz maj 1944 r. Dokładnie 8 maja Niemcy otoczyli budynek gminy, w celu aresztowania znajdujących się tam działaczy AK. W czasie ucieczki zginął Marian Lewiński, pseudonim „Bończa”, a jego żonę aresztowano. Obecny tam nauczyciel Stanisław Ceśliński, który później pracował w Szkole Podstawowej i w Liceum, zdołał wydostać się z oblężenia. Pogrzeb M. Lewińskiego zgromadził ogromne rzesze ludzi z Leśnej i okolic. Kondukt prowadził o. Korneliusz w asyście czterech innych paulinów. Na cmentarzu współtowarzysza broni pożegnali partyzanci z AK,

k którzy liczną grupą przybyli z sąsiedniego lasu. Działo się to na dwa miesiące przed opuszczeniem przez Niemców wschodnich terenów Polski na skutek naporu wojsk sowieckich.

W lipcu 1944 r. Leśna Podlaska była już wyzwolona. Nowy rok szkolny rozpoczęto w atmosferze wolności, pełnej swobody i w duchu polskich tradycji. Entuzjazm udzielał się wszystkim — nauczycielom i uczniom, których do Leśnej zjechało się niespodziewanie dużo. Z konspiracji wrócili znani sprzed wojny profesorowie: Stanisław Malik, Józef Perzyna, Wincenty Banaszkiwicz, Franciszek Kędzierzawski i inni. Dołączyli do nich Wojciech Perzyna, Zbigniew Maciak, Stanisław Celiński, Stefania Lewińska i inni. Liceum Pedagogiczne, Gimnazjum i Szkoła Handlowa zaczęły tętnić nowym życiem. Okazało się wkrótce, że żłudny był optymizm ówczesnych nauczycieli, którzy lata okupacji spędzili na tajnym nauczaniu młodzieży licealnej i na heroicznej obronie dzieci i młodzieży szkoły podstawowej.

Czy wielu z nas, dzisiejszych nauczycieli byłoby stać na podobny heroizm, czy wystarczyłoby nam odwagi i męstwa, aby bez reszty poświęcić się dobru szkoły, młodzieży, społeczeństwu? Być może jest to retoryczne pytanie, ale nabiera ono konkretnej wymowy w zestawieniu ze strajkiem nauczycieli ogłoszonym w czasie trwania egzaminów maturalnych w 1993 r. Godzi się też przypomnieć smutną rzeczywistość z okresu zniewolenia komunistycznego, kiedy wielu nauczycieli, w tym wykształconych w Leśnej, zaprzedała się obcej ideologii dla osiągnięcia osobistych korzyści. Gdy rozważamy te smutne fakty, warto sięgnąć pamięcią do lat wojny i okupacji, i w krótkiej chwili refleksji przywołać na myśl naszych Nauczycieli, którzy byli prawdziwymi bohaterami, wspaniałymi wychowawcami, szafarzami wiedzy i niestrudzonymi bojownikami o polskie, a zwłaszcza chrześcijańskie oblicze naszej szkoły w Leśnej Podlaskiej.

Zygmunt Denisiuk

W NUMERZE:

Od Zespołu Redakcyjnego	1
Maria Jadwiga Czarnocka z d. Perzyna: Wspomnienie o Dyrektorzce Maksymilianie Makarewiczu	2
Maria Jadwiga Czarnocka z d. Perzyna: „O chwilo, trwaj, ty jesteś piękna” (J. W. Goethe), czyli refleksje o poznaniu tajemnicy szczęścia	3
Aniela Taras z d. Makaruk: Z mroków okupacji	4
Anna Lergetporer-Jakimow: Przyczynek do wspomnień Janki Ziniewicz-Kondratiew	8
Franciszek Zańko: Z minionych szkolnych dni	10
Aniela Taras z d. Makaruk (oprac.): Wspomnienia paulina ojca Jerzego Tomzińskiego z pobytu w Leśnej Podla- skiej — przeora Klasztoru Jasnogórskiego w Cze- stochowie	16
Maria Jadwiga Czarnocka z d. Perzyna: Wspomnienia z 1952 roku	21
Danuta Burzmińska z d. Piekarska: Leśniańska Szkolna Miłość (matura 1952)	22
Zygmunt Denisiuk: Wspomnienia szkolne z okresu okupacji	25